***„Historia pisana … farbą”***

***Autor: Oliwier Ciborowski***

***III miejsce w konkursie na „Reportaż literacki opisujący wybrane wydarzenie z roku 1946, 1956 lub 1981”, realizowany w ramach Projektu Wojewody Mazowieckiego „#Historia naszej wolności”***

Mam napisać reportaż. Do wyboru kilka dat… Przyszła mi pewna myśl do głowy, aby zapytać swojego ojca czy przypomina sobie jakieś wydarzenie związane z jedną z nich. Odpowiedź była prosta: *W 1946 ani w 1956 nie było mnie jeszcze na świecie, a w 1981 miałem zaledwie kilkanaście lat więc cóż ciekawego mógłbym opowiedzieć? Ale...* I tu zaczęła się cała historia.

Był początek grudnia 1981 roku. Zima w Łapach - mieście leżącym na Podlasiu, zapowiadała się sroga. W kraju trwały strajki, protesty, a półki w sklepach były puste. Nikt z nas, kilkunastoletnich chłopaków nie za bardzo rozumiał co się dzieje. Rodzice zajęci pracą, walką o załatwienie tego, czego nie można było kupić, bo w tych czasach to się głównie załatwiało. Trudno to co prawda zrozumieć, że mając pieniądze nie można było kupić tego, co się chciało mieć. Przypomina mi się dziś rozmowa dwóch starszych mężczyzn o tych czasach. Jeden z nich opowiadał, że w 1981 roku na jesieni chciano go przyjąć do ,,Oddziałów Policji” w Warszawie. Drugi zaś mówił, że był odpowiedzialny za zaopatrzenie pewnego zakładu, z którego załatwiał różne rzeczy potrzebne do życia jego rodziny i sąsiadów. Prawda zaś wyglądała następująco, pierwszego z nich chciano przyjąć do Zmotoryzowanych Oddziałów Milicji Obywatelskiej (ZOMO), jednej z najbardziej znienawidzonych formacji z okresu komunizmu, pacyfikującej strajki, demonstracje ludzi walczących o wolność. Drugi z nich nie załatwiał, a po prostu okradał swój macierzysty zakład pracy. Taka to była obłuda tamtych czasów, która niektórym towarzyszy niestety do dzisiaj...

Łapy, miasto rodzinne mego ojca, było miastem na wskroś robotniczym, a właściwie chłopo-robotniczym. Trochę dziwne określenie, ale oddające prawdę. Duża część osób pracujących w Łapach posiadała małe gospodarstwa rolne. Znajdowała się tam cukrownia - swego czasu jedna z największych w Europie, a także Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego, gdzie naprawiano wagony kolejowe. W zakładach pracowało około 3 tysięcy osób. Ciekawostką było to, że wielu z nich posiadało nazwisko Łapiński, które było bardzo popularne w tej miejscowości i jej okolicach. Stąd kilkudziesięciu Józefów Łapińskich było znaczonych w zakładzie numerami, czyli od jednego do... Może to budzić dziwne skojarzenia, ale jednak to ułatwiało życie, przynajmniej dyrekcji zakładu. Nazwiska i imiona rodziców (Józefów Łapińskich) często pokrywały się ze sobą.

Co niedzielę uczęszczałem do kościoła. Patriotyczne kazania wygłaszane przez Proboszcza księdza Adolfa Romańczuka mającego często łzy w oczach o tym, jaka mogłaby być wolna Polska pobudzały moją wyobraźnię. Liczne dobiegające z kraju wiadomości oraz podsłuchiwane rozmowy rodziców zmieniały w nas spojrzenie na prawdę o sytuacji naszej ojczyzny. Coraz bardziej czuliśmy się inni od tych, którzy rządzili Polską, a właściwie naszym miastem. Wróg był na wyciągnięcie ręki. Za poradą kilku starszych kolegów zastanawialiśmy się co złego można byłoby zrobić dla ówcześnie rządzących władz. Pierwsze pomysły były dosyć słabe. Może by powybijać szyby w komisariacie Milicji albo w budynku PZPR. Od dzieciństwa dobrze rzucałem kamieniami, tak bynajmniej mi się wydawało. Plan ataku na komisariat Milicji i budynek partii wydawał się łatwy, jednak po kilkudniowym rozpoznaniu, czyli chodzeniu z saneczkami przy celach okazało się, że obiekty te były trudne do obrzucania, bo zawsze w wielu oknach wieczorami paliło się światło i ktoś mógł nas zauważyć.

Wtedy powstał drugi pomysł, żeby oblać farbą pomnik Marcelego Nowotki stojący zresztą w centrum miasta. Był to pomnik jednego z najbardziej znienawidzonego działacza komunistycznego. Człowieka, który według naszych rodziców sprzedał Polskę. Chciałbym dzisiaj powiedzieć, że realizacja tego pomysłu przez kilkunastoletnich chłopaków wymagała nie lada wysiłku intelektualnego. Opowieści o tym, jak się wlewa farbę do bombki choinkowej są dla mnie nadal ciekawym tematem. Wlanie farby z pojemnika typu kanister do małej bombki graniczyło z cudem. Kolega, który próbował tej sztuczki nie dość, że miał ręce umazane po łokcie, to jeszcze musiał gorączkowo czyścić podłogę pomieszczenia gospodarczego zaniechując tym samym rozlewania farby. Dodam, że farba miała kolor czerwony, a większość dachów domów prywatnych w tej miejscowości miała ten sam kolor. Czyli znowu ktoś coś komuś załatwił. Dlaczego? Bo wszystkie wagony towarowe w Łapach były kryte tym samym rodzajem farby. Doszliśmy do jednego wniosku, bombki może i są fajne do rzucania, ale tylko w filmach. Trzeba było zdobyć inne naczynia, do których moglibyśmy wlać farbę. Po kilku dniach mieliśmy niezłą kolekcję różnego rodzaju pojemników na farbę. Były butelki szklane z nakrętkami wyciągnięte z śmietnika apteki. Mieliśmy również słoiki zabrane z domowej spiżarni. W owe naczynia nalaliśmy farby w liczbie kilkunastu sztuk i ukryliśmy je wśród wysokich traw pobliskiego stawu. Przyszła w końcu nasza godzina *W,* niczym dzień i czas wybuchu powstania warszawskiego.Było bardzo mroźno i padał śnieg. Ten padający śnieg miał zatrzeć nasze ślady podczas ewentualnego pościgu. Godzina 19 wydawała się nam być odpowiednią, Wystarczająco późno aby w centrum miasta nie było żywego ducha.

Zaopatrzeni w sanki oraz w farbę pochowaną w kieszeniach kurtek i za ich pazuchami wyruszyliśmy aby zrealizować nasz plan. Uwierzcie mi, że rzucanie słoikiem napełnionym farbą podczas kilkunastostopniowego mrozu nie jest wcale łatwe - przyznał ojciec. Dlaczego o tym mówię? Po rozstawieniu czujek i zgromadzeniu kilku słoików pod tują i schowaniu w śniegu, długo czekaliśmy na odpowiedni moment, aby w pobliżu nie pojawił się żaden przechodzień. W pewnym momencie doszliśmy do wniosku, że nikogo nie ma. Złapaliśmy za słoiki wyciągnięte ze śniegu, które były bardzo zimne, na dodatek ciężko przecież rzucić jest słoikiem, kiedy ma się na ręku rękawiczkę. Wiedząc o tym, zaczęliśmy rzucać słoikami i butelkami gołymi rękoma. W kierunek pomnika poleciało kilkanaście pojemników z farbą. Rzucaliśmy je, jak jacyś nawiedzeni.

Nagle dobiegł nas krzyk naszej czujki stojącej przy budynku PZPR: *Uciekajcie!*. Tego hasła nie trzeba było nam dwa razy powtarzać. Już nie patrzyliśmy, ile nam słoików z farbą zostało, a myśleliśmy tylko o ucieczce. Uciec, ale dokąd? Tego nie uwzględniliśmy w planach naszej akcji. Skoro pierwszy uciekinier pobiegł w kierunku torów dworca kolejowego pobiegliśmy za nim. Pomysł ten okazał się bardzo niefortunny. Po dobiegnięciu do peronu dworca kolejowego usłyszeliśmy krzyk: *Stój, bo strzelam!*. Wyobraźnia podbudowana obejrzeniem seriali o przygodach załogi Rudego 102 oraz perypetiach Kapitana Klosa ze *Stawki większej niż życie* pobudzała nas do ucieczki. Nasza grupa uderzeniowa rozsypała się błyskawicznie na małe pododdziały, z których każdy liczył jednego człowieka. Wszyscy podeszli do tego tematu na zasadzie hasła *Ratuj się kto może*. Biegłem jak opętany w kierunku własnego domu klucząc między blokami, a główną ulicą. Po kilku minutach biegu byłem już we własnym domu. Mama oczywiście nakrzyczała na mnie, że przyszedłem taki spocony, bo przecież mogło mnie coś powiać i mogłem się przeziębić. Powiać - dzisiaj to brzmi śmiesznie, mogłem mieć niezłe pałowanie, czyli bicie pałką, gdyby mnie milicjanci złapali. W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku oraz strachu i obawie o losy swoich kolegów zjadłem bardzo obfitą kolację - co wprawiło w zdumienie rodziców, którzy doszli do wniosku, że takie wieczorne spacery dobrze służą apetytowi ich syna. Gdyby oni znali całą prawdę... Długo nie mogłem zasnąć myśląc głównie o losie swoich kolegów, uczestników naszej wspólnej akcji...

Na drugi dzień spotkaliśmy się wszyscy w szkole. Opowieściom nie było końca. Było fajnie, miło i sympatycznie, dopóki nie zaczęliśmy spierać się czyj słoik lub butelka trafiła w pomnik Marcelego Nowotki i czy w ogóle coś trafiło. Każdy był przekonany o celności swoich rzutów, więc cóż należało się udać w miejsce naszej akcji. Po lekcjach gremialnie poszliśmy do centrum naszego miasta. Cóż za piękny widok nas zastał. Cały cokół pomnika komunisty był zalany czerwoną farbą, a wokół niego walało się mnóstwo szkła. Niestety nie udało nam się trafić ani w głowę, ani w tułów, ale dla nas najważniejsze było to, że nasz wysiłek nie poszedł na marne. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z konsekwencji naszego działania i jakie niebezpieczeństwo czyhałoby na nas, gdyby odkryto sprawców tego czynu. Po kilku dniach dowiedzieliśmy się od naszego kolegi (notabene syna milicjanta), że milicja wyznaczyła nagrodę za wskazanie sprawców tego czynu. No cóż, nikt nie podejrzewał kilkunastoletnich chłopaków o taką akcję. Nigdy już nie powtórzyliśmy naszego wyczynu. Od tej pory jednak wykonanie napisu *Solidarność* na ścianie budynku PZPR było już dla nas normalnością, a nie przejawem bohaterstwa. W późniejszych latach przegrywaliśmy kasety z patriotycznymi piosenkami, z których pamiętam najbardziej *Mury* Jacka Kaczmarskiego, które uwielbiam do dzisiaj i *Żeby Polska była Polską* Jana Pietrzaka.

Tak zakończyła się historia mojego ojca. Zawsze wiedziałem, że jest w nim wielka dusza patrioty połączona z odrobiną chuligaństwa w dobrze pojętym tego słowa znaczeniu. Nigdy nie patrzyłem na niego z tej strony, ale od teraz to się zmieni...

**Projekt Wojewody Mazowieckiego „#Historia naszej wolności” sfinansowano ze środków Wieloletniego Programu Rządowego „Niepodległa” na lata 2017-2022**

****